N^er 1. Rok 1876.

Dodatek do „Przeglądu Polskiego," na Styczeń.

SKRZYNKA NA LISTY

Organ dla „Nieśmiałych" *).

1.

Panie Redaktorze!

Ośmielam się, jako jeden z nieśmiałych podać twojemu światłemu rozpoznaniu jednę kwestyą która mnie czasami trapi. Pomiędzy ludźmi, a zwłaszcza przyjezdnymi ze stron dalszych, słyszeć się dają o naszem mieście różne zdania i porównania obrazowe, ale nie podchlebne. „Kraków" mówią, „to kupa piasku; ziarnek w niej dużo, ale cóż z tego, kiedy się rozsypują. Ani na tem co zasiać, ani z tego co ulepić?" Albo drugie porównanie: „Kraków, to stojąca woda podobna do tych, które pleśnieją w zaniedbanych fosach zrujnowanego zamczyska albo w starem korycie rzeki, której prąd dawno inną drogą popłynął." Zapytuję sam siebie czy to prawda, co zrobić z tym piaskiem, żeby się nie rozsypywał, ale był trochę spojniejszym, zkąd wziąść jaki świeży bieżący prąd wody, żeby go przepuścić przez naszą stojącą, a jak niektórzy mówią, pleśniejącą i zatęchłą? Zdaje się, że mamy między sobą źródeł dosyć z których taki prąd dałby się wyprowadzić. Jest naprzykład dużo rodzin, zamieszkałych bądź stale bądź przez zimowe miesiące, dużo pań równie uprzejmych jak rozumnych, dużo drzwi które się chętnie przed ludźmi otwierają, a więc są elementa i warunki silnego i ruchliwego życia towarzyskiego, a takiego

---

*) Zwracamy na to uwagę Szan. pp. Abonentów naszych, iż naznaczone w ostatnim zeszycie »Przeglądu Polskiego« termina wydawania »Skrzynki na Listy,« na 10 i 20 każdego miesiąca, o tyle nas obowiązują, o ile zasilani będziemy przez „Nieśmiałych" odpowiedniemi listami i spostrzeżeniami.

życia nie widać, lub widać rzadko i mało. Zapytaj po za Krakowem Krakowiaka o jego miasto, odpowié ci że jest najzabawniejsze a przynajmniej najbardziej towarzyskie na świecie; wszyscy przyjmują, wszyscy się ciągle między sobą widują, znają doskonale, żyją z sobą poufale. Przyjedź do Krakowa i chciej się przekonać naocznie, a zobaczysz, że istotnie wszystkie domy otwarte i wszyscy przyjmują, ale nikt nigdy nigdzie do nikogo nie przychodzi; a raczej wszędzie w każdym domu zastaniesz wieczorem osób parę lub kilka, ale nazajutrz, i pojutrze, i za tydzień, jeżeli wrócisz, zastaniesz zawsze na tych samych miejscach jednych i tych samych ludzi, bardzo rzadko osób trochę więcej lub osoby inne. Jestto więc życie rodzinne, między krewnymi i przyjaciołmi, życie w kółku czy koteryi najbliższych znajomych, ale nie prawdziwe życie towarzyskie.

Życie umysłowe mogłoby i nawet powinnoby kwitnąć, ma wiele warunków po temu. Ludzi nie głupich, a nawet zupełnie rozumnych nie brak, nie brak zapewne i materyału skoro są instytucye naukowe i inne, są redakcye dzienników, są liczne i ważne interesa krajowe i miejscowe, o których każdy myśli i chętnie mówi. Ale każdy dla siebie i każdy u siebie. Dla tego zdanie usłyszysz zawsze, a często wyrobione i trafne, opinii nie uchwycisz nigdzie. Dopiero kiedy gwałt, kiedy czas nagli, kiedy do pewnego terminu coś koniecznie zrobionem być musi, dopiero wtedy rady, narady, sesye, komitety, które mogłyby daleko mniejszym trudem daleko pewniej cel swój osiągnąć, gdyby się ludzie więcej znali i częściej spotykali, gdyby kupa piasku przez cały rok rozsypana, zamiast wołać w ważnych okazyach: „gwałtu, zróbcie ze mnie glinę,“ mniej się w swoim codziennym stanie rozsypywała.

Próbowąno na to radzić różnemi sposobami, ale dotąd bezskutecznie. Mówiono naprzykład: że różnice majątków dzielą więcej niżby należało różne kółka towarzyskie, których rozum i wychowanie nie dzielą, które więc łatwo mogłyby się do siebie zbliżyć, ale środka czy punktu zbliżenia nikt jakoś wskazać nie umiał. Próbowano za kilkoma nawrotami zebrań wyłącznie mężkich, i te dotąd naprawdę przyjąć się na naszym gruncie nie zdołały. Ożywiało je przekonanie o potrzebie, uczucie obowiązku nie ledwie, ale nie powab i naturalna ochota. Piasek jak był piaskiem, tak nim jest

zawsze i nie zdaje się żeby nim być przestawał. Jak? dla czego? ja nie wiem. Ja tylko pytam. Może kto mądrzejszy potrafi wytłumaczyć powody, a może i wskazać środki zaradcze, co daj Boże.

2.

Rozmyślam nieraz, coby też uczynić należało na rozbudzenie lepszego u nas ducha publicznego. Wasza *Skrzynka* wydała mi się nie złym konceptem. Ale wszystko od tego zależy, co się do niej kłaść będzie.

Przedewszystkiem — na miły Bóg — chociaż wam pieprzu narzucą i chociaż pieprzu żądać będą, dajcie pokój!

Podniebienie nasze spalone od niezdrowej i zaprawnej korzeniami strawy. Iść dalej tą drogą, rzecz zgubna.

Na schorzałe trawienie umysłowe — trzeba dać pokarm zdrowy, naturalny.

Próbujmy chwalić co dobre, ganić co złe, spokojnie, przekonywująco i śmiało.

Zapisujmy w urywkach skrzynki wszystko co podniesienia godne — a zacznijmy od tych bohaterów obowiązku, co zginęli w kopalniach bocheńskich. Wszakże zapisano pod r. 1510 skrzętnie fakt, jak Andrzej Kościelecki, żupnik a później podskarbi Zygmunta I. z siedmdziesięcioletnim Sewerynem Bethmanem spuścili się do płonących podziem wielickich, aby dodać robotnikom otuchy, jak szczęśliwie utłumili ogień.

Jak ich imiona, tak pozostaną związane z skarbami solnemi ziemi naszej nazwiska Windakiewicza i Furdzika — pierwsze z nich zasłużone także na polu nauki i znane nietylko u nas, ale za granicą. Z najlepszych też źródeł czerpiemy wiadomość o cnotach tych ludzi, o serdecznem przywiązaniu, które dokoła siebie budzić umieli, o żalu, które w kołach najbliższych zostawili.

I rzecz dziwna, potrzeba było tragicznej śmierci aby kraj się dowiedział, że miał znakomitego geologa i siłę górniczą w całem tego słowa znaczeniu.

Niebrak wprawdzie w większej części naszych gazet wiadomości z kraju, ale tam dowiadujemy się najczęściej o złych ludziach: o złym, który bywa opisywanym, i o złym, który

owego złego opisuje. Pierwszy bywa czasami najpoczciwszym człowiekiem, drugi — bardzo rzadko.

Jakby to dobrze było, aby dla podniesienia ciepła, usposobienia, dla dodania otuchy krajowi, bywały wiadomości o tem, co robią w kraju ludzie dobrej woli, ludzie skutecznej pracy.

3.

„Szarańcza bez Ojczyzny.... bez iskry prawdziwej chrześcijańskiej miłości.... bez zrozumienia i poszanowania tego co człowiekowi świętem jest i drogiem na ziemi..... plaga dotkliwa, klęska cięższa nad wszystkie pomory, głody i nieurodzaje,.... czarna zgraja korsarzy.... gangrena życia narodowego“ i t. d. Kto? i Co? jest takiego między nami, coby zasłużyło sobie na te wszystkie ozdobne epiteta?.... mybyśmy nawet i do pewnej części prasy lwowskiej nie wszystkie zastósować śmieli, bo uważamy pomory i głody zawsze za sroższe trochę nieszczęścia, niż „Dziennik Polski“ i „Gazetę Narodową“. Tymczasem właśnie „Dziennik Polski“ odkrył już dawno tych straszliwych winowajców, na których w ostatnim tygodniu znowu aż trzy razy uderzył, wyczerpawszy przytem cały powyżej przytoczony słowniczek przezwisk i przekleństw. Któż jest więc tym wrogiem, szarańczą, plagą nad wszystkie plagi?..... naturalnie OO. Zmartwychwstańcy!!! „Dziennik“ dowiaduje się z Wiednia, że ktoś z „Karmazynów“ tamże nad tem pracuje, żeby OO. Zmartwychwstańcom pozwolono osiedlić się w Galicyi, że „czynią się tam gorliwe usiłowania w tym arcyzgubnym kierunku, okryte grubą mgłą tajemniczości“ i to spowodowało nowe napaści „Dziennika“ niestety „Polskiego“ na Polską Kongregacyą w Rzymie, przyczem wyzywa „Opinię kraju żeby się przez swe Organa w tym przedmiocie jawnie wyraziła“. Tego już za wiele! tym razem i „Organ Nieśmiałych“ odpowiada śmiało i głośno:

1° Że dałby Bóg, aby prawdą było to, co donosi korespondent z Wiednia „Dziennikowi;“ my jednak dotąd nic nie wiemy o tem, żeby kto z wpływowych starał się o sprowadzenie OO. Zmartwychwstańców do Galicyi;

2° że wszystko co prócz tego „Dziennik Polski“ czytelnikom swoim o Zmartwychwstańcach śmié do wierzenia podawać, jest, jak to już powiedziano, odgrzewanym fałszem i po-

twarzą, przyczem z przyjemnością konstatujemy, że pomimo wyzwania za sobą Opinii kraju, „Dziennik Polski“ tu sam jeden w kraju został potwarcą;

3⁰ że wreszcie nie dziwimy się wcale temu iż Dziennik tak się OO. Zmartwychwstańców boi, bo o ileż pogorszyłaby się przez to szansa dziennikarskich napastników, awanturników i fałszerzy opinii, gdyby do Galicyi przybyło naraz tylu znakomitych, dystyngowanych i jak sam „Dziennik“ powiada „wykształconych“ zakonników.

4.

Rzecz dość niemiła, to, że na kupno Unii Matejki, obrazu nabytego na własność kraju i przez autora już krajowi oddanego, nie dostaje dotąd bez mała trzeciej części umówionej ceny. Komitet lwowski działał wprawdzie na większej przestrzeni, ale też zebrał ośmnaście podobno tysięcy: jego krakowski pomocnik tylko pięć! Może był nieczynnym, niezręcznym, może to i jego wina, ale przecież ogłaszał składki, wydawał rozsyłał i powtarzał odezwy, cóż więcej miał robić? Gwałtem pieniędzy ludziom zabierać nie mógł, a oprócz tych którzy go składają, ich krewnych, przyjaciół, i kilku rad powiatowych, dobrowolnie nie dał mu nikt nic. Prawda, że składka trafiła na rok bardzo zły, ale zły dla wsi, dla miast nie tyle, a właśnie największą w tej sprawie oszczędnością odznaczają się miasta, między wszystkiemi zaś bryluje miasto Kraków! W zebranej summie pieniędzy, prawdziwie krakowskich jest najmniej, jeżeli są jakie. Żeby to było ładnie, trudno powiedzieć. Bo przecież miasto, które się pamięcią przeszłości rade chlubi, które jest miejscem rodzinnem i mieszkalnem artysty, powinno było przyczynić się hojnie do nabycia obrazu, który oddaje cześć przeszłości a teraźniejszości przynosi zaszczyt, i który jest, jak mówią znawcy, arcydziełem artysty Krakowianina. Zarzucają nam dość powszechnie zbyteczne i przesadne przywiązanie do wszystkiego co krakowskie. Czyżbyśmy tam tylko pokazywać je umieli, gdzie nie warto lub nie trzeba, nie tam gdzie słusznie można i gdzie należy? Mówimy bardzo ładnie o sercach i kieszeniach zamkniętych dla sztuki, płaczemy nad tem, że obrazy Matejki kupione przez cudzoziemców stracone są dla kraju, gorszymy się że ten lub ów bo-

gaty człowiek ich nie nabywa. Ten lub ów bogaty, rzadko a raczej nigdy nie jest tak bogatym, żeby tak znaczną summę mógł znaleźć i wydać bez konieczności i uszczerbku dla siebie. Składka w małych kwotach nikomu wielkiej różnicy nie robi, a może złożyć wielką summę. Tylko tych jakoś nie ma, którzyby dawać chcieli, nie ma ich zwłaszcza w Krakowie, mieście Jagiellońskiem, mieście rodzinnem autorów obu Unii, i Lubelskiej, i jej obrazu.

Komitet nie wiedząc już co począć, zapowiada bal, z którego dochód ma być na ten cel obróconym. Obyż przynajmniej ten bal przyniósł jak najwięcej, kiedy bez tej przynęty tak mało tylko zebrać zdołano.

5.

Bawiąc przez ferye w południowo-zachodniej Galicyi, znalazłem powiat, gdzie:

Drogi są wyborowo-dobre.

Szkoły mają budynki wzorowe i urządzenie najstaranniejsze, włościanie mają kasy zaliczkowe.

Żydów szynkarzy bardzo mało i propinacya bardzo mało dochodu przynosi obywatelowi, i — obywatele bardzo z tego zadowoleni.

Dzielę się z radością tem odkryciem geograficznem. Jestto powiat — Krośnieński.

Niepodnoszę nazwisk, ale o ile z krótkiego rozpatrzenia się zbadać mogłem, rezultaty tak piękne są wynikiem trzech czynników: zamożności, wykształcenia i dobrej woli. Ogniskiem ich — Rada powiatowa....

To odkrycie niech nieubliży nikomu — bawiłem w powiecie Krośnieńskim.

6.

Jeżeli to ma być naprawdę „organ dla nieśmiałych“ to i najnieśmielszym z natury i z obowiązku, powinno być wolno w nim się czasem odezwać: a więc i kobietom. Wierz mi Panie Redaktorze, że i my miałybyśmy niejedną rzecz do opowiedzenia, i może taką, której słuchaćby się opłaciło, gdybyśmy tylko śmiały, i gdybyśmy wiedziały, jak, gdzie i kiedy. Pan mówisz, że chcesz wziąć w opiekę nieśmiałych i ich opi-

nije? zbiera mnie ochota doświadczyć, czy Pan mówisz prawdę czy tylko żartujesz; i na próbę pozwalam sobie (proszę wierzyć że bardzo nieśmiało) rzucić do Pańskiej skrzynki jedno pytanie?

Zkąd i dla czego ta jakaś niełaska w Krakowie na damskie Towarzystwo śgo Wincentego? Nie taję się, że do niego należę i że występuję w własnej sprawie (mężczyźni nazywają to podobno po łacinie *pro domo sua*): ale doprawdy, że nie chodzi ani mnie, ani żadnej z nas o dom własny, tylko o wiele domów bardzo biednych, bardzo zimnych, bardzo niewygodnych, do których przynosimy trochę ciepła, trochę pożywienia, trochę odzienia, trochę lekarstwa w chorobach. Cośmy złego zrobiły, że nas tak nie lubią i pomagają nam tak skąpo i tak niechętnie? Przeciwko temu co robimy, trudno, żeby kto miał jakie zarzuty. A więc czy może jaka niechęć do osób? może jaka z naszej strony nieuwaga, mimowolne uchybienie? gdybyśmy wiedziały, naprawiłybyśmy ile możności, ale nie wiemy. Mamy do czynienia z obojętnością, która, jak straszydło w Dziadach „i stoi i nic nie gada.“ Bo przecież uprzedzeń nierozsądnych i niczem nie usprawiedliwionych nie można przypuścić — przecież nikt nie jest tak dziecinnym, żeby myślał w dobrej wierze, że nasze fundusze i składki w wielkim sekrecie posyłają się do Don Karlosa albo oddają Jezuitom, którzy za nie prowadzą swoje intrygi? Biedny Don Karlos, biedni Jezuici, gdyby mieli tylko tyle pieniędzy co od nas dostają! Ale mogę zaręczyć że wszystko co nam się zebrać uda, zostaje w Krakowie i idzie do ubogich chorych. Nie wiele zapewne, ale zawsze więcej jak parę tysięcy reńskich których nie ma, które się stwarzają z niczego, i obracają na cel dobry. Dla czegoż więc to, nie wiem jak nazwać, uprzedzenie, czy niechęć, czy niedowierzanie?

Uwaga ta nasunęła mi się po świeżo odbytej dorocznej nie zbyt popularnej tak zwanej Wencie. W officyalnych sprawozdaniach dziękuje się publiczności za wielki i hojny udział w tem przedsięwzięciu, bo jakże inaczej odwdzięczyć się tym, którzy byli a zrobić delikatną wymówkę tym, których nie było; ale między nami można przyznać, że ten wielki udział publiczności, choć istotnie większy, niż w roku zeszłym, był naprawdę wcale nie wielkim. Ach gdyby ta publiczność wiedziała jak to miło przez cały rok robić robótki, przez tydzień

ustawiać graty, przez dwa robić rachunki, przez cztery naprzykrzać się znajomym żeby przyjść nie zapomnieli, a potem nie mieć kupujących, prócz tych, znajomych którzy z grzeczności i z litości nad ubogimi i nad sprzedającemi dają więcej niż potrzeba i niżby chcieli, toby nas pewnie żałowała. Niechże ci, co na Wentę nie przychodzą nigdy, wejdą raz tylko, przez ciekawość, nie po to, żeby kupować, ale żeby się przypatrzeć nie artykułom naszego handlu, ale nam, jak siedzimy każda ws woim kącie za swoim stołem nad swojemi gratami, o które nikt się nie pyta, a co jaką godzinę podnosi się jedna, idzie do sąsiadki, kupuje co przez grzeczność, i wraca na swoje miejsce czekać zmiłowania bożego, lub zmiłowania sąsiadki, która po godzinie znowu jej tę samą grzeczność oddaje; ktoby to widział, ulitowałby się nad nami, choćby się z nas może śmiał; a oprócz tego zobaczyłby wiele ładnych drobiazgów, które kupić można za tanie pieniądze. Szarpać się na wydatki nie trzeba: każda rzecz ma swoją cenę: a obok kosztowniejszych są i bardzo skromne. Da kto więcej niż zaceniono, to tem lepiej, nie kładzie się tamy dobroczynności: ale nam, jak wszystkim kupcom na świecie, nie zależy na tem żeby nasze towary sprzedawać drogo, tylko żeby ich sprzedawać wiele.

W Warszawie robi się to samo, tylko pod innem nazwiskiem, Bazaru, i tam wszyscy to lubią, popierają, ścisk jest taki, jak na najpiękniejszym balu, a dochód zawsze bardzo znaczny. Dla czego „*u nas inaczej*“ czy w Warszawie inni ludzie? nie; czy lepsi, broń Boże. Może tylko nawzajem sobie życzliwsi, nie tak oddaleni uprzedzeniami i niedowierzaniami, może dla tego że żyją w wielkiem mieście nie mają tych drobnych drażliwości i podejrzliwości, które najłatwiej zawsze wyrabiają się w małych zakątkach. Ale Kraków nie jest przecież małym zakątkiem, broń Boże. Zresztą nie moja rzecz szukać powodu. Chciałam tylko zapytać, nie tłumaczyć, i przy tej sposobności życzyć Krakowowi z całego serca, żeby ludnością, zamożnością, ruchem i niektóremi innemi rzeczami jeszcze, zdążał jaknajbardziej za Warszawą.

W Krakowie dnia 12 stycznia 1876.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Dr. Ign. Skrochowski.

W drukarni „Czasu“ pod zarządem Józefa Łakocińskiego.